



MARTA SZTOKFISZ
JERZY HOFFMAN
GORĄCE SERCE



W oczy rzuca się potężna postać. I te zamaszyste ruchy, wylewność, emocjonalność. Ten rodzaj zmysłowości i otwartości charakterystyczny dla ludzi wschodu. I dla mężczyzn, których bezskutecznie szukają dziś kobiety. Zero w nim lorda i zero mężusia. To watażka – nie zdziwiłabym się, gdyby jak Azja porwał kobietę, którą wybrał na żonę. Ale i romantyczny trubadur. Może otworzyć ramiona oraz serce, uściskać i zacząć: „Wiesz, bracie kochany...”, albo, gdy mu przeszkadza, krzyknąć na planie filmowym do aktorki: „Nie pierdol!”.

O żadnym artyście nie krąży tyle legend, ile o Jerzym Hoffmanie. Przyjaciele, znajomi i współpracownicy bez trudu przypominają sobie anegdoty, dodają historie różniące się detalem albo znacząco. Jedni mówią, że swoją żonę Wałę odbił lekarzowi gdzieś na Ukrainie, inni, że tym mężem był skromny inżynier, a rzecz działa się w Zakopanem. Wszyscy są zgodni – spił faceta i siłą perswazji zmusił go, by odpuścił

← Szwajcarski adwokat? Nie! Reżyser filmowy Jerzy Hoffman

sobie Walę, ponieważ ta kobieta będzie szczęśliwa tylko z nim, z Jerzym Hoffmanem. To właśnie jej, zmarłej przed premierą filmu, dedykował *Ogniem i mieczem*.

W bydgoskiej szkole należał do harcerstwa, z którego go wyrzucono. Kolega z klasy niżej twierdzi, że nastrojów antyżydowskich w gimnazjum nie było, a Jurek od dziecka działał w ZMP, nie w harcerstwie, co nie jest prawdą, bo zaczynał jeszcze w ZWM. Świadkowie tamtych czasów mówią, że miał zaledwie szesnaście lat, a już rządził we wszystkich szkołach w Bydgoszczy. Nauczyciele się go bali, a młodzież uwielbiała. Zwalniał ją z lekcji pod pretekstem zebrań bądź czynów społecznych.

Bokser, wcześniej marynarz, wszędzie szef, prowodyr. Lider. Zawsze na pierwszej linii, krok przed innymi. Nigdy w cieniu. Marynarzem jednak nie był. Zaistniał natomiast w awangardzie dokumentu społecznego w czasie „odwilży”. Film Hoffmana i Skórzewskiego *Pamiętka z Kalwarii* ogląda się dzisiaj z nie mniejszym zainteresowaniem niż pięćdziesiąt pięć lat temu. Wykluczone, żeby zmagął się z myślą typu: Film w technologii 3D? To ryzykowne. Nie miał takich rozterek. Widzi, jak zmienia się świat, i idzie za postępem. Jego *Bitwa Warszawska 1920* wyznacza nowy trend w polskim kinie. A on żartuje, że kiedyś reżyserzy upijali się w 4d, a teraz w 3D robią filmy.

Piekłem dla niego jest głód i ból – tych uczuć doświadczył na Syberii. A niebem? Jeśli tam się znajdzie, powie: „Oto jestem. Sądź mnie, Panie”. Czy coś w swoim życiu chciałby

zmienić? Już nic, kiedyś chciał schudnąć. Na pytanie, kim jest, odpowiedział: „Mam nadzieję, że człowiekiem, a z zawodu reżyserem filmowym”. Śmieszą go megalomania i samozadowolenie.

Ludzie opowiadają jego życie za każdym razem nieco inaczej – pamiętają go z własnej perspektywy. W ten sposób medialny żywot Jerzego Hoffmana meandruje, rozwidła się jak delta ukraińskiej rzeki Dniestr. Rośnie tam ponad 1200 gatunków roślin, żyje 300 gatunków ptaków, 85 gatunków ryb. Delta Dniestru została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Jerzego Hoffmana wielu wpisuje na listę mistrzów polskiego kina. Był o krok od znalezienia się na liście mistrzów światowych. W biegu po Oscara za *Potop*, w kategorii film nieanglojęzyczny, wyprzedził go Federico Fellini i jego *Amarcord*.

Słynie z talentu, bezceremonialności, siły fizycznej, odporności psychicznej, miłości do kina, kobiet, historii i biesiad. I z tego, że walczy o swoje tak długo, aż zwycięży. Prędkiej skona, niż odpuści. Przeniósł na ekran Trylogię Sienkiewicza. I to pamiętamy do dzisiaj.

Realizacja takiego dzieła to nie jest stan błogosławionej euforii, są to lata przygotowań – krok po kroku, w znoju, trudzie i męce. To ciężka harówka. Małgorzata Braunek, odtwórczyni roli Oleńki Billewiczówny w *Potopie*, powiedziała kiedyś, że Jerzy Hoffman osiągnął sukcesy jako reżyser dzięki gorącemu podejściu do pracy, którym zaraża aktorów. Nic dziwnego, że w *Ogniem i mieczem*, kultowym filmie końca

lat dziewięćdziesiątych XX wieku, chciał zagrać każdy aktor – nawet ściegłą głowę.

Potrafi żyć marzeniami jak wizjoner i materializować je jak skrupulatny inżynier, a potem gonić za kolejnym. Nawet jeśli jest to dystans maratoński, a spodziewał się sprintu, nie ustaje. Dwadzieścia pięć lat myślał o *Ogniem i mieczem*, walczył o ten film lat jedenaście. Nikt inny nie mógł go zrobić.

Na *Pana Wołodjowskiego* chodziło się parę razy, z rodziną. Jerzy Hoffman stał się wtedy gwiazdą kina. *Potop* – obejrzało go dwadzieścia siedem milionów widzów – był nominowany do Oscara, a w Polsce reżyser awansował do rangi artysty dużego formatu. *Ogniem i mieczem* w nowej, demokratycznej Polsce biło rekordy oglądalności. Wtedy fetowano reżysera prawie jak króla, wożono go nawet karetą. Niewykluczone, że zostałby prezydentem, gdyby chciał się ubiegać o ten fotel i walczyć o zwycięstwo z podobną determinacją jak o swoje filmy.

Ludzie go lubią. Coś w sobie ma, że na dzień dobry zyskuje sympatię. Może to „coś” wyssał z mlekiem matki – kobiety, dzięki której przeżył Syberię. To ona nauczyła go tam miłości do polskiej literatury i historii, ponieważ wiedziała, że kiedy wróci z synem do ojczyzny, chłopiec nie może być pariasem.

Sprawdza się tam, gdzie trzeba nawiązywać kontakty, mieć dobre relacje. A w stosunkach damsko-męskich – spostrzegły kobiety – jest jak ostatni Mohikanin. Czuły, klasyczny przedwojenny dżentelmen. Potrafi skupiać wokół siebie ludzi, którzy mu zaufali. W jego ekipie każdy czuje się ważny,

potrzebny, dowartościowany. Umiejętności społeczne, nazywane często sztuką życia, opanował perfekcyjnie.

A sztukę miłości? Jest niezwykle romantyczny, podkreślają z zachwytem kobiety. Niektóre mają nawet łzy w oczach i jakiś żal do losu, że nie spotkały takiego mężczyzny. Uważają, że dzika namiętność, która w nim buzuje, pozwala mu robić filmy o wielkich namiętnościach.

Walczyć i współpracować z innymi nauczył się na syberyjskiej zsyłce, gdzie trzeba było dawać sobie radę, bo inaczej gryzło się ziemię lub się w niej spoczywało. Zapewne też w ZWM, ZMP oraz w partii. Chyba również dorastając w inteligenckiej, lekarskiej rodzinie. Niewykluczone, że wszędzie – także na planie filmowym, gdzie decyzje reżyser trzech części Trylogii podejmuje w sekundę, wszystko musi zsynchronizować, skłonić ludzi do maksymalnego wysiłku i do odpowiedzialności. Sam odpowiada za całość wielkiego finansowego i artystycznego przedsięwzięcia.

Wielbi go Dwór, Rodzina – jak mówi się o jego ekipie filmowej. W siedlisku na Mazurach jedni noszą za nim ziółka, drudzy wódkę, trzeci leki. Są do usług. Na zawołanie. To samo dzieje się na planie. Jerzy Hoffman nie wydaje się nababem, hołdy przyjmuje jak uśmiech na dzień dobry. Lubią go koledzy z branży, sąsiedzi, lekarze ratujący mu życie. I ekspedientka z Ełku, i moja koleżanka Bożena, u której kupuje domowe przysmaki, bo patrzy w oczy i zagada miło, a także Agnieszka, córka sołtysa ze wsi Sikory na Mazurach. Niektórzy go kochają. Wielu sporo mu zawdzięcza: role, rozpostarty nad

głową parasol ochronny, bezzwrotne pożyczki. Są i tacy, którzy mu zazdroszą widzów i charyzmy. I tego, że za życia stał się legendą polskiego kina. Legendą artystycznego świata.

W środę, 19 stycznia 2011 roku, Jerzy Hoffman jest przy montażu *Bitwy Warszawskiej 1920* do piątej po południu. Piekalnie zmęczony, ma podkrążone oczy, ciężko oddycha, ale jeszcze zamawia dla mnie wodę z cytryną, jeszcze chce mu się zadzwonić do Romana Kesslera, przyjaciela, adwokata mieszkającego w Izraelu. „Romaszka – przemawia tubalnym głosem – bracie kochany, zwróci się do ciebie Marta Sztokfisz. Pogadaj z nią, kolejną książkę pisze o mnie”.

Mówię reżyserowi o swoim odkryciu; ważnym momentem jego życia towarzyszy pociąg. Pociąg wiozący go na Syberię, pociąg, którym wracał po pięciu latach ze zsyłki, pociąg z pierwszego kadru *Bitwy Warszawskiej*. Mam też na myśli pociąg, jaki nadal mają do niego kobiety.

„Mimo powodzenia, jakim zawsze się cieszył, to facet jednej kobiety – zapamiętała Zofia Czerwińska, aktorka znająca Hoffmana pół wieku. – Już miał Walę, ale panienki się kręciły, jak zwykle przy filmowcach. Był magnesem, ale nie korzystał, w przeciwieństwie do Edka Skórzewskiego. Ich duet świetnie się uzupełniał”.

Wala miała szczęście, przeżyli razem trzydzieści pięć lat. W świecie filmu to wyjątek. Przed premierą *Ogniem i mieczem* reżyser powiedział: „Walka o realizację *Ogniem i mieczem*

trwała ponad jedenaście lat. To, że przetrwałem i zwyciężyłem, zawdzięczam swojej żonie Walentynie, która nigdy nie zwątpiła, i Jerzemu Michalukowi, który związał swój los z moim”. Reżyser chyba też miał fart, że trafił na Walentynę.

Przyjaciel Hoffmana sugeruje, że Jagodę, obecną żonę, Wala wymodliła dla niego. Coś w tym jest...

Trwa pierwsza wojna światowa, w szeregach oficerów wojsk cesarstwa Austro-Węgier są duże straty. Zygmunt Hoffman w wieku osiemnastu lat zostaje podporucznikiem ckm-ów, karabinów maszynowych, i idzie na front włoski. Osiemnastoletnia Maria Schmelkes ucieka z rodzicami przed Rosjanami do Wiednia (są obywatelami cesarsko-królewskimi), ofensywa rosyjska dochodzi aż do jej rodzinnych Gorlic. Toczy się wielka bitwa gorlicka, tak zwane małe Verdun. Rosyjski front się przełamuje. W roku 1918 kończy się wojna. Polska odzyskuje niepodległość, którą znów straci za dwadzieścia jeden lat. Dziadkowie reżysera ze strony matki wracają do całkowicie zrujnowanego miasta i zaczynają odbudowywać swoje życie.

Matka kończy seminarium nauczycielskie; dziadek uważa, że to dla kobiety wykształcenie wystarczające. Ale ona jedzie do Pragi (w Polsce obowiązuje numerus clausus – zasada przyjmowania na studia określonego procentu Żydów) i tam studiuje medycynę, pracując między innymi jako służąca.

Koniec wojny zastaje ojca po raz trzeci rannego, ze szpitala wychodzi w 1920 roku. Na studia jedzie do Pragi. Tam poznaje matkę Jerzego. Nostryfikują dyplom we Lwowie i na





Rodzice, Maria i Zygmunt Hoffmanowie w Krynicy

Uniwersytecie Jagiellońskim. Praktykę rozpoczynają w 1929 roku. Biorą ślub i dopiero wtedy mogą myśleć o dziecku.

Kiedy się urodził (15 marca 1932 roku), jego matka miała trzydzieści cztery lata. Jak na owe czasy uważało się, że to późno i w związku z tym poród może być trudny.

„Dlatego z Gorlic, gdzie mieszkali rodzice, mama pojechała rodzić mnie do Krakowa. Byliśmy tam zaledwie kilka dni. Stamtąd wracaliśmy do Zagórzan. Pogoda się załamała, nastąpił gwałtowny nawrót zimy. Ogromna zamieć śnieżna, postoje w szczerym polu, a my w nieogrzewanym pociągu. Przerażony konduktor często wchodził do przedziału, świecił

latarką i sprawdzał, czy w tych strasznych warunkach niemowlę jeszcze żyje. Z tego wyniosłem podświadomą, niesłychaną fascynację – przez całe życie towarzyszy mi miłość do latarki kolejowej. Nawrót zimy w pierwszych dniach życia mógł być również zapowiedzią oczekującej mnie za osiem lat Syberii”.

Do następnego spotkania dojdzie za miesiąc, reżyser kończy postprodukcję *Bitwy Warszawskiej*. Wzmocni się w przezwie na Mazurach – tam oddycha prawie tak jak kiedyś, ale butla tlenowa jest w pogotowiu. Już się z nią nie rozstaje. Przed zdjęciami do *Bitwy Warszawskiej* trafił do szpitala na Płockiej – złamana kość żebra przebiła płuco. Był jedną nogą na tamtym świecie. Na oddziale intensywnej terapii lekarze ratowali mu życie.

Przestał nękać płuca nikotyną, mniej je, częściej odpoczywa, porusza się nie tak szybko, jak kiedyś. Ale chociaż jego ruchy są spowolnione, w oczach jest żar, w duszy gra muzyka, jak trąbka zagrzewająca do boju o wygraną Bitwę Warszawską. Poza planem filmowym, gdzie jest władcą absolutnym, poddaje się opiece żony Jagody, która wybiera dla niego ekologiczne warzywa na targu, „bo Jureczek lubi”, a także, jak twierdzą znajomi, świeżą cielęcinę. „Nieprawda – reżyser prostuje ten mit o swoich upodobaniach. – Cielęcinę najchętniej jedzą nasze koty”.

Do lotu wzbija go to, co zawsze dodaje mu skrzydeł: film – jego tlen, jego krwiobieg.

I cud, który się wydarzył. „Po raz pierwszy w moim życiu ktoś z własnej woli przyszedł i zaproponował, że da pieniądze na film. Mariusz Gazda (prezes zarządu SKOK w Wołominie) powiedział, że jest w stanie wyłożyć naprawdę dużą kasę tylko po to, by powstała *Bitwa Warszawska* w mojej reżyserii. Zanim z Jarosławem Sokołem napisaliśmy scenariusz, można było rozpoczynać prace przygotowawcze”.

Dla Jerzego Hoffmana film nie jest wyłącznie pracą. „Jest ogromną frajdą. Moją miłością. Spełnianiem marzeń. Moim spełnieniem. Tak, to ostatnie jest najbardziej adekwatnym określeniem tego, czym są dla mnie moje filmy”.

A życie poza filmem?

Chociaż jesteśmy skłonni wierzyć w swoją niepowtarzalność, życie ludzi nie różni się aż tak bardzo, a mimo to z jedynymi czujemy się dobrze, drugich unikamy – zwłaszcza tych, którzy nie akceptują ani siebie, ani innych. W opowieściach o Jerzym Hoffmanie najczęściej powtarza się fraza – kocha ludzi. Chociaż to puste słowa, wyświechtany frazes, są jednak na to dowody.

„Kocha nie tylko aktorów i potrafi tak to uczucie ofiarować, że wszystkie ekipy, z którymi pracowałem, odwzajemniają się Jurkowi taką samą miłością”. – Daniel Olbrychski, który zagrał w wielu filmach przyjaciela, przeżył z nim także trudne momenty.

„Jak ćmy do światła, tak inni lgną do niego. Na planie i poza nim. – Emilia Krakowska, aktorka, zna reżysera ponad cztery dekady. Jerzy Hoffman przychodził do niej z żoną na brydża. – Do gry zasiadał z moim mężem oraz z Jerzym Ziarnikiem i Jerzym Kadenem. Nauczona szanować zainteresowania męża, podawałam panom kanapki, zmieniałam popielniczki, a jak się w kuchni robiło nudno i ciasno, w tamtych czasach jednopokojowe mieszkanie było luksusem, szłyśmy z Wałą Hoffmanową i Krysią Prucnal, żoną Ziarnika, do Piwnicy Wandy Warszawskiej. Słuchało się jazzu i poezji.

Nasi mężczyźni grali na forszę. Pewnego razu szczęścia albo umiejętności zabrakło narzeczonemu Ewy Wiśniewskiej, Włochowi. Hoffman wszedł do kuchni i mówi: Nie, nie! Musimy skończyć tę grę! Włoch się topi. To nie w porządku. Idziemy do Kongresowej, zabawimy się. Tego dnia brakowało czwartego. Włoch zasiadł do stolika z uprzejmości, nie był dobrym graczem.

Jurkowi odebrano przyjemność, ale nie powiedział: Ja z tobą nie gram. Zrobił to dyskretnie, taktownie. To nie był karciarz, który gra dla pieniędzy i ogrywa słabszych. Honor został uratowany. Jurek kocha zabawę. Spotykaliśmy się także w Ścieku – knajpie filmowców na Trębackiej, w Europejskim, w Bristolu, dokąd chodziło się na solankę – zupę z wędzonych i gotowanych mięs. Świetną na kaca. Wszyscy chcieli do niego dołączyć. Rzeškość się czuło, swobodę posiłku i atmosfery”.

Ludzie z podziwem i zazdrością konstatają witalność reżysera, stałą gotowość do pracy na planie i do zabawy, kiedy zejdzie z planu. Gdy większość pokotem rozkłada się po kątach, on się dopiero rozgrzewa. Żyje z rozmachem. Jak panisko. Jak szlachciura. Na Mazurach stół Hoffmana jest zastawiony, niczego gościom nie brakuje, ani złowionych przed chwilą ryb, ani kotletów, szaszłyków, barszczu, ani zimnej wódki. Zero umiaru w tej gościnności, zabawie, nawet w zakupach. Jerzy Hoffman nie oszczędza, żeby wygodnie i zamożnie umrzeć.

Uwielbia kupować, ale to jeszcze nie jest uzależnienie ani kompensacja jakichś niespełnień. Jerzy Bekker, publicysta, przyjaciel reżysera, towarzyszył mu i przy stole, i w pracy, i podczas zakupów. A kupuje wszystko. Hurtowo. Jak pomidory, to pięć kilo. Jak wódka, to dziesięć butelek. Jak mąka, to cały worek.

„Lubi się też ubrać. Gdyby mógł, lansowałby się w ekstraciuchach. W Stanach chodziliśmy z Hoffmanem i Jurkiem Michalukiem do dobrych nowojorskich sklepów. Obaj kupili białe smokingowe marynarki. Byli z nich ogromnie dumni, ale Jurek nie mógł swojej nosić – nie dopinała się. Wynajduję dla niego krawców. Śmiesznego mieliśmy przy alei Trzeciego Maja, na parterze. Nieustannie naprany, pisywał wiersze, niczego nie zrobił o czasie. Teraz szyje nam pan Szymon z zakładu przy placu Narutowicza. Jurka Michaluka krawiec jest za drogi. Uszycie spodni kosztuje sześćset złotych? Horrendum!”. „Osiećset” – dodaje swoją korektę reżyser.



Jerzy Hoffman. Malarz szerokiego kadru. Generał kina. Reżyser od dziecka.

Uwaga, chuligani! (1955) – ciągnęło się za nim od syberyjskiej szkoły po bydgoskie gimnazjum, studia w Moskwie i SPATiF. Dobry, inteligentcki dom wydał panicza, który *klnie jak szewc i potrafi pić jak Rosjanin*.

Prawo i pięść (1964) – *Adrenalina odegrała w moim życiu niebagatelną rolę* – przyznaje. *Miał rękę jak noga fortepianu* – wspominają koledzy. Na planie potrafi skrzyzczeć i przytulić. *Jest jak papież w Kościele, jak generał podczas bitwy*.

Trylogia Sienkiewicza (1969-99) – *ściągnął do kin rekordową widownię, pokazując wojnę i miłość. Każdy chciał u niego zagrać, nawet świętą głowę. To ostatni Mohikanin w stosunkach damsko-męskich* – twierdzą kobiety. *Umie sprawić, byś poczuł się z nim wyjątkowo*.

Bitwa Warszawska 1920 (2011) – *To nie cud, to majstersztyk! Sztuki wojennej i reżyserskiej, utkany gwiazdami w trójwymiarze, czyli kolejna największa polska superprodukcja Hoffmana*.

Jest ogromną frajdą. Moją miłością. Spełnianiem marzeń. Moim spełnieniem. Tak, to ostatnie jest najbardziej adekwatnym określeniem tego, czym są dla mnie moje filmy.

Jerzy Hoffman spośród wielu swoich zasług wymienia tylko: Członek Rzeczywisty Akademii Sztuki Ukrainy, Doktor Honoris Causa Instytutu Filmowego w Moskwie, Zasłużony dla Kultury Narodowej, oraz odznaczenia: Wielki Krzyż Orderu Odrodzenia Polski, 6 nagród Ministerstwa Kultury i Sztuki, 7 Złotych Kaczek, nominacja do Oscara.

Aktorzy i przyjaciele stawiają Hoffmanowi pomnik za życia piórem Marty Sztokfisz. Dziennikarki i pisarki. Przeprowadziła ponad 300 rozmów z ludźmi świata kultury, show-biznesu i mediów. Jest autorką pięciu książek i cyklu scenariuszy filmów dokumentalnych.

www.marginesy.com.pl



cena 49,90 zł

ISBN 978-83-928431-3-9



9 788392 843139